PRAWDA

Pismo tygodniowe. *Nie przyszedłem dawać pokoju, ale miecz. MAT. X, 34.*

Rok XXXIV Nr. 4. *Warszawa, 24 stycznia 1914.* Widok 3.

TREŚĆ: Czy stać Polaków na honor. — Echa Prawdy. — L. BRUNN: Cień Bismarka. — CZESŁAW JANKOWSKI: Osaczeni. — A. S.: Skry. — I. M.: Cudowne ocalenie Skarbu Narodowego. — J. KRZESŁAWSKI: Strajk drukarski w Galicji. — K. WROCZYNSKI: Z poza kurtyny. — OTTO: Wrażenia. — GROMICZ: Z lotu ptaka. — Książki nadesłane do Redakcji.

Czy stać Polaków na honor?

I.

Oto pytanie jadowitsze od hamletowej alternatywy: *być albo nie być*. Zrodziła się śród nas wątpliwość, czy nas, Polaków, stać na honor? Czy nas, jako naród, stać jeszcze na honor zbiorowy?

Padła odpowiedź: nie! Z naczelnej pewnego obozu trybuny (p. *Słowo Polskie* Nr 6, Lwów), orzeczono, iż godność narodowa byłaby niewczesnym a karygodnym zbytkiem dla narodu, żyjącego w tak opłakanych warunkach, jak my. Żyć z godnością, w obecnych warunkach, to —„znaczyłoby, dla Polski, żyć nad stan. Wznieść się nad bagno, upośledzenia, to, dla Polski współczesnej, znaczyłoby — skazać się na zagładę.

Tak, mianowicie, orzeka ze swej galicyjskiej trybuny pan Roman Dmowski. Taką stawi djagnozę u łoża matki, /! u łoża chorej ojczyzny. Jak dobrotliwy lekarz, ale i jak syn zarazem, zbadał bicie tętna i długo trzymał ucho na rzężącej macierzyńskiej piersi, z niepokojem, z troska i z miłością, nim wreszcie oznajmił: «Nie pozwalajcie biednej naszej matce oddychać godnością. Nadto bowiem jest słaba; nadto umęczona. Pierś polska nie wytrzyma oddechu godności! Każdy żyć może tylko w przyrodzonym swoim żywiole. Polska więc obecna już ani żyć, ani odychać nie zdoła poza powietrzem hańby Umrze, jeśli oderwie się od tej atmosfery! Umrze z głodu, jeśli przestanie pożywać hańbę, jeśli w każdej kruszynie chleba nie znajdzie rozczynu hańby!»

Albowiem: naród każdy ma taki honor, na jaki go stać, — powiada pan Dmowski. Na jakiż tedy honor stać naród, który składa się z Dmowskich? Cóż wart jest naród, w którym z trybun publicznych przemawiają Dmowscy? — pyta pan Dmowski z wyrzutem i powątpiewaniem ostatecznym wzrok zatrzymując na sobie.

II.

Gdy Ignacy Daszyński głos podniósł w parlamencie wiedeńskim przeciwko grabieży sum publicznych na cele partyjne, przeciwko przedajności i przekupstwu w stosunkach politycznych, nazwano go zniesławiaczem narodu. Krzyknięto, że kala ojczyste gniazdo! Kala przez to, że *widzi*, *ile jest skalane*.

Lecz jeśli on je znieważa i kala, tedy któż gniazdo narodowe zaszczyca i podnosi? Któż taki?

Zapewne ci, którzy się na Daszyńskiego oburzają. Tak jedynie wolno nam wnioskować. Jeżeli wystąpienie Daszyńskiego jest ujmą dla narodu, to jego chlubą są panowie Dmowscy i Długosze.

A więc podążmy w ślad za krokami pana Dmowskiego: on nas doprowadzi do świątyni, w której mieszka bóstwo chwały i dumy narodowej.

III.

Już wiemy, że naród ma taki honor, na jaki go stać. Posłuchajmy-ż, jak szczegółowiej zasada owa rozwija się w szeregu przykładów.

Im naród jest potężniejszy, dojrzalszy, lepiej uzbrojony, tym czulszy posiadą punkt honoru. Anglja czuje się obrażona, gdy jej obywatela gdzieś uwiężą lub z granic państwa wydalą. Po zwycięztwie nad Transvaalem byłaby się czuła dotknięta do żywego, gdyby ktoś próbował wtrącać się do układów między nią a Burami. Ale już słabsze od niej Włochy nie mogą czuwać tak zazdrośnie nad swoją godnością. Jeszcze mniej zazdrośnie strzegą honoru swego małe państwa Bałkańskie: po rozgromieniu Turcji nie próbowały nawet dla siebie poczytywać za ujmę pośrednictwa wielkich mocarstw, które ujęły w swe ręce sprawę zlikwidowania wojny.

Cóż dopiero mówić o drobnym Czarnogórzu? Państwo to przelało rzekę krwi, aby zdobyć pożądaną dla się warownię. Zdobyło ję rzeczywiście; wnet atoli musiało z niej ustąpić na rozkaz Austrji. Dla każdego innego narodu rozkaz taki byłby obrazą śmiertelną. Czarnogórcy wszakże nie uznali go za obrazę. Wymaszerowali ze Skodaru bez poczucia jakiejkolwiek dla siebie ujmy.

Dlaczego?

Dlatego — podpowiada pan Dmowski,— że nie mieli środków materjalnych po temu, by pokryć koszta obrazy. I dodaje: «Każdy naród z chwilą, kiedy się wzmacnia, rośnie natychmiast w swej godności i czuje się drażliwszym w swym honorze». *(Autentyczne!)*

Trudno o przewrotniejsze pogmatwanie pojęć.

W myśl rozumowania pana Dmowskiego, poczucie godności narodowej jest prostym wykładnikiem siły mocarstwowej państwa. Potęga moralna jest mechanicznym wpływem potęgi materjalnej. Pierwsza pozostaje w prostym stosunku do wahań drugiej.

W stosunkach międzyludzkich teorja taka przypisywałaby wyższe poczucie godności atletom cyrkowym, niźli przywódcom narodowej demokracji. W stosunkach zaś międzynarodowych obdarza ona wyższą miarą honoru Anglję, niźli ... Grecję Milcjadesa; honor zaś Czarnogórza podporządkowywa honorowi Austrji.

Stawiono zarzut zwolennikom Marksa, ze nazbyt upraszczają sprawę, redukując całokształt zjawisk psycho-społecznych do podłoża przyczyn materjalnych. Wszelako materjalizm dziejowy Marksa wydałby się maxymalizmem idealistycznym w porównaniu z tym systemem praw automatycznych, w jakie zakuwa świat moralny pan Dmowski! «Każdy naród z chwilą, kiedy się wzmacnia, rośnie natychmiast w swej godności»... Nie! takich stwarzać fjlozofji nie wolno! Nawet wówczas, gdy się wyznaje kult dorobkiewiczów. Ani nawet wówczas, gdy się zamierza... spekulować na bankructwie własnego środowiska.

IV.

Czarnogórcy nie dlatego nie doznali upokorzenia, ustępując ze Skodaru, iżby mniej drażliwsi byli w poczuciu swego honoru od narodów potężniejszych, ale dlatego, iż czuli, że nie przed słabością własną się cofają, jeno przed przemocą zewnętrzną, równą — z uwagi na stosunek wzajemny sił — przemocy żywiołu. Gdyby armja angielska widziała się zmuszoną opuścić fortecę zagrożoną wybuchem wulkanu, lub trzęsieniem ziemi, to również, mimo najczulszej drażliwości honoru, nie poczytałaby sobie tego za ujmę. Otóż dla Czarnogórza najazd Austrji znaczy tyleż, co katastrofa żywiołowa. Z tego, że Czarnogórze ulękło się gróźb Austji, Anglja zaśby się ich nie ulękła, wynika to jedno, że Anglja więcej ma sił, niż Czarnogórze, ale bynajmniej nie to, że — więcej ma godności. Postawmy Anglję wobec niebezpieczeństwa inwazji wroga akurat sto razy od niej mocniejszego, zobaczmy jak się zachowa, a wówczas dopiero zyskamy pole do miarodajnych porównań i sądów. Godność i duma polega na gotowości stawienia na kartę wszystkich sił swoich, stawienia na kartę wszystkiego, co się posiada, celem odparcia zamachu na najdrobniejszą choćby tego posiadania cząstkę. Jest więc postawą woli, nie zaś splotem mięśni. Na różnych szczeblach potęgi można uosabiać ten sam poziom dumy, i — naodwrót. Podobnie, jak na rozmaitych szczeblach bogac-

twa ujawnić można jednakowy stopień hojności lub ofiarności.

Twierdzić przeto, że naród ma taki honor, na jaki go stać, znaczy tyleż, co utrzymywać, że: każdy człowiek odznacza się taką ofiarnością, na jaką go stać. Byłoby to twierdzenie błędne. Każdego bowiem stać na najwyższy stopień ofiarności. I ten co ma najmniej, może poświęcić na ofiarę to wszystko, co posiada. I również — każdego stać na najwyższe pojęcie honoru. Czarnogórca zarówno jak Anglika. Polaka zarówno jak Włocha. Albowiem każdy naród może użyć wszystkiej siły swojej w obronie każdej najmniejszej cząsteczki swego materjalnego lub duchowego mienia. Naród nawet najsłabszy może w polityce swej nie znać kompromisów wcale. Naród najsłabszy żyć może — bez sromoty. Najbardziej zagrożony — bez podłości.

Najdumniejszy naród stać się może ofiarą obcej przemocy, bez skazy dla posągu swej dumy. Juljusz Cezar nie przestał czuć się w każdym calu Cezarem nawet wówczas, gdy, chwycony przez złoczyńców w podróży, stał się jeńcem na statku piratów.

Hańba czyha na tych tylko, którzy stali się ofiarami własnej niemocy.

V.

Lecz dlaczegóż właśnie w chwili obecnej występuje pan Dmowski *ex cathedra* z tak niedorzeczną teorją, przeczącą w żywe oczy wszelkim świadectwom rzeczywistości? Mimo jej niedorzeczności nie nazwaliśmy jej naiwną, ale — przewrotną. Naiwna jest ona w budowie, ale w intencji swej jest podstępna i przewrotna. Natura bowiem teorji owej jest taka, że nad wezgłowiem żywego narodu rozpościerając kiry beznadziei, stroi głowę bankruta jeszcze... w skrawki jasnego firmamentu. Chcącemu żyć wskazuje ona mogiłę hańby, ale zrezygnowanemu na hańbę pokazuje łudzącą ponętę życia.

Uznać zasadę: «Naród ma honor taki, na jaki go stać» — za hasło przewodnie polityki, to znaczy roztoczyć tęczową kopułę usprawiedliwienia nad całym obszarem nizoty moralnej aż do zaprzaństwa, aż do odszczepieństwa i aż do zdrady włącznie.

Pan Dmowski zasadę swą rzucił nie dla niej samej, ale dla tej wspaniałej plejady wniosków, które ona nastręcza i za sobą prowadzi.

Słuchajcie! Im naród jest słabszy, tym podlejszej próby bywa jego honor. Im jest słabszy, tym mniej mu wystarcza godności. Brak siły niech idzie w parze z brakiem godności. Lecz brak godności jest stanem, w którym pozwala się na wszystko względem siebie nietylko innym, nietylko obcym. Kto cierpi na niedorozwój godności, ten zazwyczaj na wszystko względem siebie pozwala... samemu sobie. Niema rzeczy, z którejby nie rozgrzeszył sam siebie.

VI.

Anglja jest potężna. Ćwierć świata dzierży pod królewskim berłem. Posiada wszechmocną flotę. Więc jej nie zaszkodzi to, że wysoko dźwigać będzie sztandar swej dumy. Że nie ścierpi w swoim łonie sprzedawczyka, że nie ścierpi zdrajcy. Nie zniesie tego, aby ktokolwiek z jej synów upokarzał się przed obcym narodem, trwonił narodowe mienie lub rządził się prywatą na posterunku publicznym. By uległością i pokorą słał się pod nogi nieprzyjaciół celem zaświadczenia swej ... nieszkodliwości.

Ale Polska jest słaba. Polska nic posiada ani armji, ani floty. Więc na honor wysoki jej niestać. Więc pobłażliwa być musi na wszystkie względem siebie zamachy i uchybienia zarówno ze strony obcych jak swoich. Jest słaba, więc powinna być bezbronna.

Jest niezmiernie słaba, więc telerować musi ogromnie dużo. Spokojnie musi znosić frymarkę w łonie kół polskich Wiednia i Petersburga. Nie może oburzać się na Koło Polskie w parlamencie austrjackim, iż z gadzinowego funduszu czerpie miljony srebrników na wybory, aby drogą rozpajania i przekupstwa mas ludowych zdobywać mandaty, celem utrzymania się przy sterze władzy. Nie może gniewać się na Koło Polskie w Petersburgu za jego konszachty z październikowcami i wszelką wogóle gadzinową reakcją. Innemu narodowi toby ubliżało. Toby nawet szkodziło. Ale nam? Zali nie jesteśmy słabi? Zali nie jesteśmy tak słabi, iż nam nic już, prócz godności, zaszkodzić nie może?

Narodowa demokracja w Galicji onego

czasu zaprzedała swe usługi rządowi, za pośrednictwem namiestnika Potockiego, za 1,300,000 koron: czyż tak słaby naród, jak Polacy, może to wytykać owemu stronnictwu, jako zbrodnię? Nas nie stać na taką surowość! Nie posiadamy sztandaru godności: zostały nam tylko strzępy. Może jeszcze strzępów onych wystarczy, na to, aby odtrącić z pogardą dłonie ludzi którzy są przekupywani, ale nie starczy już na pogardę dla tych, którzy przekupują. Zaledwie zdobyć się możemy na to, aby potępić Stapińskiego, który zostawał na żołdzie u Długosza: lecz jakże mielibyśmy potępić Długosza, który był na żołdzie u większych od siebie, który brał od rządu aby przekupywać lud?

Stać nas zaledwie na zamach kosy dla ścinania drobnych chwastów; nie stać nas na gilotynę sądu dla wielkich przeniewierców i bandytów.

VII.

Lecz gdzież są krańce naszej słabości?

Skoro nas nie stać na honor, jakże ma starczać nam na sumienie w sprawach publicznych?

Jeśli honor dla narodu polskiego jest zbytkiem kosztownym, to może i uczciwość jest dlań zbyt kosztowna? Powinno, być może, nam wystarczać, dla powzięcia pochlebnej o kimś opinji, że nie jest w sprawach publicznych włamywaczem, że nie rozbija kas publicznych, ale sprytnie, ale gładko dobiera do nich klucze i wynosi pieniądze bez hałasu: kradnie, ale kradnie w rękawiczkach.

Tak przynajmniej pochlebnie wyraża się *Gazeta Warszawska* o tych, którzy trwonili fundusze Skarbu Narodowego. Rozkradli? Nie! Czyżby byli tak nieoględni, aby się włamać nocą, jak zwykli rabusie? Oni naprzód zyskali zaufanie Rady Narodowej, potym postarali się o to, aby ją opanować. I nie odrazu sięgnęli po kapitał. Przez pewien czas zadowalano się podbieraniem procentów. Gdy wreszcie kapitał jął topnieć, a ktoś przejęty zgrozą, krzyknął: «Gdzie są pieniądze» i w broszurze rzucił pytający krzyk swój między naród, broszurę postarano się wykupić co rychlej, i zniszczyć, aby... nie szerzyła zgorszenia... Pan Dmowski musiał zostać posłem, musiał nim zostać za wszelką cenę. Bojówki endeckie musiały przelewać krew bratnią. Polityka wszechsłowiańska musiała zyskać poparcie polskiego neoslawisty. Rosja mogłaby sobie nie dać rady, trzeba tedy było zasilić jej politykę. Więc pan Dmowski zasilał ją bez żadnych zastrzeżeń. Sam zaś również bez żadnych zastrzeżeń zasilał się z funduszów Skarbu Narodowego.

Oto, na co nas stać! Ale niechaj się nikt nie oburza! Niechaj nikt nie odwołuje się do honoru lub sumienia narodowego. Każdy ma honor taki, na jaki go stać!

VIII.

Nie stać nas na politykę honoru i godności narodowej. Nie stać nas nawet na politykę uczciwą. Z kolei, idąc po tej pochyłości, napotkamy pytanie, czy nas wogóle stać na jakąkolwiek politykę?

Czy dla Polaków nie minęła już bezpowrotnie epoka polityki, czy nie minęła z chwilą nadwyrężenia funduszów w Skarbie Narodowym?

Pytanie najzupełniej poważne: Czy nas, Polaków, stać na politykę? Może nas stać już tylko na buchalterję? Może nas już tylko stać na zbieranie ogłoszeń do *Dwugroszówki?*

W cóż bowiem przemieniła się demokracja narodowa? — mógłby zapytać pan Dmowski. Gdzież jej organizacyjne kadry? Gdzież jej zdobywcza wszechpolskość? — Ma dziś dwa sklepiki z ajenturą zbierania wszechchrześciańskich ogłoszeń: już więc nie tylko na wszechpolskość, ale na zwykłą polskość jej nie stać. Polskość w jej działaniach wzięta została poza nawias: nie polskie bowiem zbiera ogłoszenia, ale chrześciańskie, z równą przyciskając do łona tkliwością piwo Drozdowskie, jak krymskie koniaki...

Tak. Nie stać nas na politykę. Stać nas już tylko na buchalterję. Kłamcą i fałszerzem był Józef Poniatowski, gdy śmiercią swą poszedł zaświadczyć Bogu, iż honor polski został ocalony Nieprawda. Cóż nam zresztą po honorze Poniatowskich? Poniatowski był złym buchalterem. I kłamstwem była pieśń legjonów. My dzisiaj żyjemy i umieramy nikczemniej, ale obliczamy trafniej. Pan

Dmowski nam zaśpiewa nad kołyską lub nad grobem nowosłowiańską pieśń: *Jeszcze nie zginęły koniaki Szustowa!...*

Bo każdy naród śpiewa takie pieśni, na jakie go stać.

IX.

A więc pogódźmy się z losem. Pogódźmy się z panem Dmowskim. Niechaj on będzie naszym sztandarem... Co? Powiadacie, że jeszcze niedole nasze nie dosiągnęły kresu? Jeszcze nie dotarliśmy do kresu upodlenia? Jeszcze na pana Dmowskiego zawcześnie? Być może, być może. Ale przecież ku niemu idziemy. On poczeka. Może przyjdzie jeszcze jedna Chełmszczyzna, jeszcze jeden projekt samorządu, jeszcze jedno w Prusiech wywłaszczenie, i... naród dla pana Dmowskiego dojrzeje: będzie dostatecznie słaby, aby móc całkowicie obyć się bez honoru. Wtenczas, w owej chwili, nie będzie mógł naprawdę obyć się bez pana Dmowskiego.

X.

Tak wygląda końcowe ogniwo konsekwencji, dających się wysnuć z zasady: «Naród ma taki honor, na jaki go stać» Na tym końcowym ogniwie przecina się łańcuch niedoli polskiej z łańcuchem polskiej hańby: tam właśnie narodowa demokracja zastrzegła dla siebie tron; tam postanowiła utwierdzić swoje panowanie. Na pograniczu hańby i niedoli. Na skrzyżowaniu słabości z upodleniem. Tak, iżby nikt nie mógł stawić jej zarzutu, że bardziej jest upodlona, niż na to słabość narodu pozwala. Tak, iżby wszemu światu obwieścić mogła, iż tyle tylko nosi na czole swoim hańby, ile naród zawiera w swoim łonie cierpienia i niedoli. A cierpienia nasze i niedole któż zliczy? Któż zmierzy obszar naszej niemocy?

I tu tkwi ów węzeł przewrotności, wspomnianej przez nas na początku. By z łez ojczyzny wytopić sankcję dla kompromisów dokonanych, by z jęczących piersi polskich dobyć błogosławieństwo na kompromisy... mające się dokonać: zaiste na to nie dość być Stapińskim; trzeba być na to... patronem stapińszczyzny.

Echa Prawdy.

I. Hrabia z Łańcuta i baron z Okocimia. — II. Francuzi u siebie i u nas. — III. Czuwaj, Izraelu! — IV Pogrom na prawicy.

I. Leżą w Galicji opodal siebie dwie rezydencje pańskie. W Łańcucie mieszka magnat, a w Okocimiu — parweniusz. Tu kwitnie sławna tradycja, a tam — tradycji niema.

Hrabia Potocki mieszka sobie po pańsku i po polsku: to znaczy, że dokoła przepysznego pałacu, który gościł nieraz w swych murach koronowane głowy — kupią się typowe wsie polskie z nędznymi chatami w krzywych opłotkach, z nigdy nie wysychającym błotem i półnagą, kołtuniastą dziatwą.

Oh! bo pan Potocki to pan z panów, dziedzic hetmańskiego rodu, inkrustowany w polskiej nędzy niby rubin w perłowej masie.

Obok, mieszka w Okocimiu baron Goetz. Baron świeżej daty, parweniusz, piwowar. Zaraz widać, że w tym człowieku nie płynie krew błękitna, że w nim tradycja polska nie żyje: opodal swego pałacu postawił baron Goetz skromniejsze, małe pałace dla swych urzędników, wzniósł czyste i miłe domy dla licznych robotników swej fabryki, zbudował szpital, szkołę, teatr, — ucywilizował cały Okocim, który wygląda. jakby znajdował się gdzieś w Anglji, nie zaś w pobliżu Łańcuta.

A przecież baron Goetz jest w porównaniu z hrabią Potockim — chudopachołkiem, niemal nędzarzem.

Powiecie może:

— Nic dziwnego, że stara się zaskarbić sobie łaski swego otoczenia, gdzie jest obcym przybyszem.

— A hrabia Potocki? — odpowiem — przecie także zabiega o sympatje. Coprawda — nie w polskim otoczeniu, z którym się nie liczy. Hrabia Potocki zabiega o sympatje... dworu, gdzie jest obcym przybyszem.

Takie są między nimi różnice i — podobieństwa. Teraz pytanie: kto ma prawo z góry na sąsiada swego spoglądać: hrabia z Łańcuta, czy baron z Okocimia?

II. Staraniem *Alliance Francaise* prof. A. Pierre z Petersburga wygłosił w Warszawie odczyt o Baudelairze...

— Byłeś pan na tym odczycie? pytały mnie snoby.

— Nie byłem; nie bywam na żadnych obchodach i uroczystościach francuskich w Warszawie.

— Dlaczego? — zdumiał się snob.

— Dla zasady. Lubię Francuzów... we Francji, kocham Paryż, gdzie spędziłem kilka lat uroczych i niezapomnianych, ale u nas niewolno mi się powodować urokiem osobistych wspomnień

ani nawet sympatją do słonecznej kultury francuskiej wobec ujemnej, powiem nawet: haniebnej roli, jaką tu grają przybysze z nad Sekwany. Trudno wyobrazić sobie niegodziwszych zdzierców i równie bezczelnych spekulantów. W Zagłębiu i w okolicach są liczne fabryki i kopalnie francuskie, dające niezwykle wysokie dywidendy: istne potoki złota płyną ztąd do przebogatej Francji. Sądzicie, że francuscy ich właściciele i dyrektorzy poczuwają się do jakiejkolwiek wdzięczności za krwawy znój naszego robotnika, którym bogactwo ich rośnie, lub za sympatję, jaką ich zawsze otaczano? Bynajmniej! Pogardą, wyzyskiem, cyniczną brutalnością płacą nam za uprzejmość i dobroć; żaden Polak nie dostanie posady lepiej płatnej w ich biurach, żadna szkoła nie wyrośnie w pobliżu ich pałaców, żaden szpital nie złagodzi cierpień i chorób, jakie praca nad siły szerzy wśród potulnych «tuziemców».

Taki pan Dupont lub Durand traktuje naszą ludność gorzej, niźli ziomkowie jego traktują murzynów w swoim Kongo — może dlatego, że tu żadna niemiecka *Pantera* do naszego portu nie zawinie by ująć się za nami...

Czy jakiekolwiek przedsiębiorstwo francuskie przysporzyło nam dobrobytu, oświaty, kultury? Straszliwa, błotnista, cuchnąca nędza polska rozpościera się w Sosnowcu, Dąbrowie, Będzinie, Czeladzi, obok mieszkań wypchanych złotem potentatów przemysłu francuskiego. Stokroć wyżej stoi — należy to raz przecie głośno powiedzieć — przeciętny fabrykant niemiecki, niż taki wyzyskiwacz z Paryża, wyzuty doszczętnie z uczuć ludzkich. Niemiec, u nas wzbogacony, często po sobie dobre zostawia wspomnienie, a nieraz przyrasta tu do ziemi, staje się Polakiem... Francuz przybywa, łupi i uchodzi z łupem.

Oto dlaczego nie bywam na odczytach francuskich w Warszawie i patrzę z politowaniem na tych z pośród nas, co gotowi nosić na rękach byle fircyka z Paryża lub mamzelę niepewnej konduity za to tylko, że mają do kogo szczebiotać po francusku.

III. Cnoty mieszczańskie mają w kraju naszym przeciwników nieprzejednanych, śmiertelnych, zaciętych. Nie romantycy to nasi rzucają na nie najcięższe gromy potępienia, nie parnasici, mistycy, filareci najgwałtowniej przeciwko nim powstają, nie mesjaniści polscy biją w największy dzwon alarmu...

Czynią to Żydzi, nad Wisłą — i nad Newą...

— Losy narodów — pisano w *Prawdzie* w jednym z ostatnich numerów — rozgrywają się dziś na terenie mieszczańskim; aby uzgodnić się z duchem czasu musi arystokracja skwitować z uroszczeń odrębnych, a lud robotniczy i wiejski — wyrobić w sobie cnoty mieszczańskie, których Polska nie zna jeszcze, ale które potrochu cenić zaczyna.

Ustęp ten wywołał bardzo ujemne wrażenie w prasie żydowskiej. Zwłaszcza zgorszyli się krajowi nasi cudzoziemcy zachwalaniem w *Prawdzie* cnót mieszczańskich, burżuazyjnych... Powstał niepokój: dr. Kleinfeld znów rzucił się do telefonu — jak w *Nowych Atenach* — wołając:

Ein grandiose Skandal Polacy chwalą sobie cnoty mieszczańskie! *Zy wit nisz mehr prometeisz, nisz romantisz! Jetzt Izrael wach auf!* Czuwaj Izraelu.

I ma słuszność pan Kleinfeld.

Wyżej cytowany ustęp mieści w sobie groźną zapowiedź. Dopóki w kraju nawskroś rolniczym i wieśniaczym tylko Żydzi pospołu z Niemcami kultywowali w sobie i dla siebie owe «cnoty» mieszczańskie — oni jedynie pełnić mogli — z wielkim znowuż dla siebie pożytkiem — funkcje zastępcze, pod nieobecność burżuazji polskiej. Gdy się jednak zjawi ta ostatnia, gdy upomni się o swoje prawa i obowiązki — żydowski stan posiadania będzie gruntownie zachwiany. Czuje to dr. Kleinfeld i dlatego właśnie, choć sam ceni sobie cnoty mieszczańskie i sporo ich posiada — radby zohydzić je i zdeptać w oczach narodu polskiego.

IV. Powstanie Dwugroszówki stało się wyrokiem zagłady dla klerykalno-reakcyjnych świstków, które żyły z chrześciańskich ogłoszeń, kapłańskich błogosławieństw, naganki na masonów i szczucia na żydowskich pachołków. Nie na Nalewkach lecz wśród nich dokonała ona rzeczywistego pogromu. Posiewy i Role, Polaki-Katoliki, różne Dzwonki i Sygnaturki, zawodzą żałośnie, gdyż ich ostatnia chwila się zbliża. Wszystkie te drobne plotki pochłania żarłoczny szczupak, który zagarnął dla siebie wszystkie ogłoszenia i wziął rekord grubiańskiego krzykactwa i pobożnego plotkarstwa.

Niezamierzoną ale rzeczywistą zasługą Wydrwigroszówki będzie zlokalizowanie choroby przez wchłonięcie wszystkich tych nieczystych soków w jedną wielką narośl. Gdy ten wrzód wzbierze i pęknie, wystarczy drenami wyprowadzić ropę, a może organizm zostanie oczyszczony i uzdrowiony.

Zanim to nastąpi, stara klerykalna gwardja broni się do upadłego.

Gdyby dziś jakiś subtelny mikrofon pozwolił nam podsłuchać najtajniejsze myśli któregokolwiek z owych nieszczęsnych redaktorów może doszłyby naszych uszu błagalne modły:

«Boże wytrać moich przyjaciół, ażeby mi nie zabierali wrogów, którymi się karmię».

L. BRUNN.

Cień Bismarka.

«Byłbym szczęśliwy gdyby
doszło do przelewu krwi».
Pułk. von Reutter.
«Brawo!»
Następca tronu.

I.

Kiedy porucznik von Forstner nazwał „wackes'ami“ mieszkańców Alzacji i przyobiecał swym żołnierzom po 10 marek za każdego nadzianego na bagnet wackes'a — można to było złożyć na karb osobistej śmiesznej buty młokosa, świeżo wypuszczonego ze szkoły kadetów i upojonego brzękiem nowiutkiej oficerskiej szabli, wlokącej się za nim po kamieniach alzackiego grodu.

Ale następstwa tego zajścia wyrosły do rozmiarów poważnej sprawy politycznej, która ma być precedensem w ocenie wzajemnego stosunku władz wojskowych i cywilnych w Niemczech. Nie chodzi tu już o poszczególny drobny zatarg lecz o zupełną niewspółmierność tych dwóch żywiołów, z których jeden stoi, a przynajmniej stać pragnie na poziomie współczesnych pojęć prawnych, gdy drugi nie wykracza po za okres absolutyzmu, mniej oświeconego niż w XVIII-ym wieku.

Bezpośredni zwierzchnik butnego porucznika, pułkownik von Reutter uśmierzał wywołane przezeń zaburzenia w Saverne w sposób tak niebywały, że musiano stawić go przed sądem wojennym. Akt oskarżenia zarzucał temu dzielnemu żołnierzowi „nieprawne długotrwałe przywłaszczenie sobie władzy wykonawczej w Saverne, pozbawienie wolności i zmuszanie innych osób do pozbawiania wolności“.

W toku rozpraw sądowych, które budziły zrozumiałą ciekawość w całym świecie cywilizowanym, wyszło na jaw, że władzom cywilnym w Niemczech wiele rzeczy przedstawia się zgoła inaczej, niż władzom wojskowym. Ztąd niebywałe sprzeczności.

Pułkownik Reutter ze swoim sztabem widział w Saverne groźne oznaki niebezpiecznego buntu, a burmistrz Knoepsel z innymi urzędnikami świadczył zgodnie, że ludność alzacka jest najpotulniejsza w świecie. Skarżyli się młodzi porucznicy, że trudno im było przejść przez ulice, pełne podnieconego tłumu, który nie szczędził wyzwisk i gróźb; lecz asesor Kries i prokurator Krause twierdzili, że hałasowały tylko dzieci, mężni zaś oficerowie uganiali się za nimi z dobytą bronią, a pułk. von Reutter kazał nawet nabić kartaczownice.

Groził przytem, że każe strzelać.

— Do kogo? — pytano. — Do ludzi! odparł wojak zapalczywy. Upewniał, — a trzeba mu wierzyć — że byłby szczęśliwy, gdyby nareszcie polała się krew; musiał się jednak zaspokoić zamknięciem w piwnicach koszarowych kilkudziesięciu osób, pochwytanych na ulicy, między którymi znalazł się nawet — miejscowy prokurator.

Sąd uniewinnił tego bohatera.

Następca tronu przesłał mu depeszę z okrzykiem: Brawo! Cesarz nagrodził go orderem. Z całego zaś przebiegu sprawy wynika, że w Niemczech stoi kasta wojskowa na niedosiężnej wyżynie ponad prawem cywilnym i ponad konstytucją Rzeszy.

II.

Z nastroju, który został ujawniony w toku rozpraw, okazało się nadto, że wśród tej niebezpiecznej kasty panuje niebywała nerwowość i wielkie podniecenie. Padły zresztą poprzednio z ust bardzo miarodajnych wyrazy: „Niemcy sztywnieja w pokoju, trzeba je wstrząsnąć“! Orzeczenie cokolwiek nieścisłe: nie naród niemiecki sztywnieje, lecz wojsko. Naród pracuje, rozrasta się, zarabia, handluje, szwindluje, krząta się zaborczo na wszystkich polach, zagarnia coraz to nowe rynki zbytu, wszędzie święci tryumfy niebywałe — ale nie uczestniczy w nich kasta wojskowa i dlatego mniema, że Niemcy gniją w bezruchu. Przemawia tu zresztą naturalny instynkt ochronny: militaryzm niemiecki ma za sobą niezmierne zasługi; on to w łunach i gromach Sadowy i Sedanu, pod wodzą olbrzymiego junkra z Schoenhausen, spoił krwią i żelazem wielkie imperjum. Teraz, gdy ono rośnie i rozkwita genjuszem już nie wojskowym, ale cywilnym — zaczyna militaryzm niemiecki niepokoić się swą bezczynnością, zaczyna się czuć zbędnym, nie chce rdzewieć w lamusie chwały historycznej i wydziera się gwałtem na boisko. Że jednak niema pod ręką nieprzyjaciół na polu bitwy — więc ugania się z gołymi szablami za bandą urwisów ulicznych w Saverne i łatwe nad nimi odnosi zwycięztwo.

Młodzież oficerska choruje poprostu na świerzbę w prawej dłoni; życie spokojne, w którym lubuje się świat cywilny, ciąży jej niewymownie. Trzeba przecież wejść w położenie tych ludzi, tresowanych moralnie i fizycznie do wojny, a skazanych na bezczynne życie w „małych garnizonach“ pogranicznych...

Jak młody wyżeł, układany do polowania, którego doczekać się nie może — z nudów ugania się za ptactwem domowem, dusi po kątach kury i gołębie — podobnie i lejtnant pruski musi na kimś wywrzeć nadmiar marsowego

swego temperamentu. A że jednakowo z nim czuje cała korporacja wojskowa od góry do dołu — więc niedziw, że za porucznikiem Forstnerem ujął się pułkownik Reutter, którego znowuż wziął w czułą opiekę jenerał von Deimling.

III.

Niemcy kwitną, pęcznieją, rosną wzdłuz i wszerz — jedna tylko armia skarży się na zastój. Czterdzieści lat pokoju — cóż to za przykra kwarantanna!

I w braku zewnętrznych nieprzyjaciół ucierają się z wrogiem wewnętrznym. Jest nim każdy „cywil" — zwłaszcza obcoplemienny.

Nic też dziwnego, że pruski duch marsowy upodobał sobie kresy. W Księztwie Poznańskim, w Alzacji i Lotaryngji, w Szlezwigu i Holsztynie — szuka junkier pruski i — znajduje licznych nieprzyjaciół, czasami poniżej lat dziesięciu...

Z kresów też idzie na całe Niemcy wiew koszarowo-więzienny; tam również obok działaczy wojskowych grupują się i rosną w potęgę i pychę działacze cywilni z pod znaku hakaty i pangermanizmu; tam tworzy się rząd w rządzie, władza, przed którą sam kanclerz chyli czoło potulnie i której — naprzekór ojcu — podbija bębenka Kronprinz, bardzo w tych kołach popularny.

IV.

Cóż na to naród niemiecki? żyjąc z pracy wytwórczej i przemysłowej — musi prędzej czy później wejść w kolizję z ludźmi, dla których wojna jest jedynym rzemiosłem i powołaniem. W tym też duchu słychać w Niemczech głosy poważne, ale bez najmniejszego skutku. Gromy potępień parlamentarnych dla junkierskiego systemu rządów nie mają większego znaczenia od papierowych gromów prasy.

Liberalne mieszczaństwo, które powinno być w Niemczech oddawna czynnikiem decydującym — ciągnie kulę u nogi, krępującą jego ruchy: socjalizm. Demokracja zaś niemiecka struła się odwarem socjalizmu i zamiast godzić bezpośrednio w ustrój koszarowo-junkierski — majaczy o walce klas i pohańbieniu podłej burżuazji. Z tych błędów korzysta istniejący stan rzeczy: militaryzm i marksizm wspólnie mieszkają w koszarach i razem słuchają — feldfebla. Wzięty we dwa ognie, osaczony i bezsilny — liberalizm niemiecki milczy i trwa. Trwa i milczy.

Weszły więc Niemzy w okres przejściowy, pełny wewnętrznych rozdźwięków i kryzysem brzemienny. Przyśpieszyć go chce kasta wojskowa gwałtownym a zbawczym „wstrząsem". W przymusowej swej bezczynności pieści się mirażem jakiegoś nowego pola chwały zasnutego dymem, huczącego zwycięzkim grzmotem dział. Majaczy się jej cień Bismarka.

Niewątpliwie, w armii niemieckiej żyje po dziś dzień jego maniera, ale czy żyje genjusz wielkiego Prusaka? Czy jest w Berlinie ktoś, godny stanąć obok Olbrzyma, czy też — pigmeje tylko w pikielhubach kręcą się dokoła jego kirasjerskich butów?

CZESŁAW JANKOWSKI.

Osaczeni.

Z CYKLU: «WSKAZANIA».

IV.

Zarzewie „kwestji rusińskiej" rozpalił przed laty sam rząd centralny austrjacki, dla osłabienia w Galicji — żywiołu polskiego. Nie na rękę była rządowi Habsburgów autonomiczna dojrzałość Polaków, ich socjalna jeżeli nie siła to okazałość po-historyczna, po-państwowa, ich wybujałość wielkopańska, ich wysoka kulturalność w porównaniu do innych społecznych pierwiastków zaludniających Galicję i Lodomerję. Trzeba było stworzyć wewnetrzną przeciwwagę dla *możliwych* separatystycznych dążeń Polaków galicyjskich, zaprzątając ich wyczerpującą, demoralizującą i pochłaniającą ogromny zapas energji: wojną domową.

Dla takiej akcji... dyplomatycznej był grunt Galicji i Lodomerji znakomicie urobiony— etnograficznie. Gdy zagarniano sporą dzielnicę b. Rzeczypospolitej Polskiej, dostało się w sieć rozbiorową austrjacką całe mrowie ludu rusińskiego, potrzebujące tylko podniety aby wystąpić z pretendowaniem do *własnego*, etnograficznego terytorjum. Ułatwiał też znakomicie grę dyplomatyczną austrjackim z pod ciemnej gwiazdy politykom: kontrast socjalny między żywiołem polskim a rusińskim, kontrast kubek w kubek taki, jak ten, któremu największe swoje zawdzięcza sukcesy — „ruch litewski".

Akcja polityczna austrjacka rozpoczęta podjudzaniem „chłopów" na „panów" i uwieńczona niebawem tak wspaniałym tryumfem jak rzeź galicyjska 1846 roku, pracowała usilnie dopóki nie położyła fundamentów pod *narodowe* uświadomienie Rusinów. Potem już poszło wszystko — własnym rozpędem. Zaszło nawet dalej, niżby życzył sobie w niejednej mierze rząd austrjacki. Ale kamień kopnięty ze szczytu stromej góry toczył się niepowstrzymanie — i dotoczył się aż do obecnego polsko-rusińskiego fatalnego, opłakanego, przeklętego kon-

fliktu, nad którym załamać musi dłonie każdy, w czyjej duszy niewygasła doszczętnie wrażliwość na człowieczą niedolę. Tak, niedolę! Albowiem to, co ścierając się ustawicznie z sobą, przeżywają dziś zarówno Polacy jak Rusini, musi dolegać obu szczepom w jednakowej mierze, wybija z sił oba szczepy, ducha obu szczepów zatruwa.

Oczywiście, że takie zmaganie się z sobą dwóch kapitalnych czynników społecznych, jakiego widownią jest obecnie Galicja, odbija się złowrogo na rozwoju i dobrobycie całej, a bynajmniej nie małoważnej dzielnicy państwowej. Miejmy też na względzie wyłonienie się z „kwestji rusińskiej“ częściowego ale aż nadto wyraźnego oraz zuchwałego rusińskiego separatyzmu... pupilów hr. Bobryńskiego i wogóle nacjonalistów dzisiejszych rosyjskich. Igrano, igrano z „narodowością rusińską“ aż się doigrano wybuchu „przynależności szczepowej“ do narodu... rosyjskiego! Tego, domniemanie, nie przewidywali w najdalej idących kombinacjach swoich wiedeńscy twórcy i inicjatorowie „kwestji rusińskiej“. Dziś atoli zarówno widok Galicji dewastowanej przez walkę miedzy-plemienną jak ekscesy „Rosjan“ galicyjskich nie raz jeden już płoszyły sen z powiek polityków austrjackich. Płoszyły tak długo, aż znalazło się „wyjście“ — na które położyliśmy nacisk komentując wyżej obecne ogólne położenie Polaków w Austrji.

Położono na szale: po jednej stronie galicyjskich Polaków, po drugiej galicyjskich Rusinów. Przeważyli — z punktu widzenia zagranicznej polityki monarchji Hobsburgów — ci drudzy. Niech galicyjscy Rusini podminują (na rzecz Austrji!) separatyzm 15-miljonowego — podobno — szczepu Rusinów poddanych rosyjskich; niech w razie zbrojnego konfliktu Austrji z Rosją oderwą olbrzymią połać Ukrainy od rosyjskiego kolosu i złożą ją u stóp tronu Habsburgów jako... dar wdzięczności za łaski i dobrodziejstwa, od wiedeńskiego rządu centralnego otrzymywane! Co za miraż! Aby zaś stał się pierwej lub później rzeczywistością, należy — dawszy za wygranę dotychczasowemu faworyzowaniu Polaków — oprzeć się na żywiole ruskim jako na żywiole państwowym.

Nic to, że w swoich organach prasy usiłują Polacy dowieść, że gdyby nawet udało się kiedy Austrji wcielić do państwa Habsburgów *wszystkie* olbrzymie rzesze Rusinów, sięgające terytorjalnie aż pod Połtawę, i pod Czernihów, to takie ich wprowadzenie w granice swoje, nieprzymierzając jakby Trojańskiego konia, mogłoby rozsadzić monarchję Habsburgów, mogłoby ją doprowadzić do likwidacji pozszywanych ze sobą dzierżaw, mogłoby w najlepszym razie doprowadzić do utraty właśnie wschodniej Galicji właśnie na rzecz Rosji. Tego rodzaju rozumowania, o ile wnosić wolno, posłuchu w „sferach“ wiedeńskich nie znajdują. Konflikt polsko-rusiński w Galicji nie daje się przeto zwekslować na inne tory żadnemi „ugodami“; tem mniej może być rozstrzygnięty.... przemocą z tej lub tamtej strony; jeszcze mniej istnieje widoków na ujęcie sprawy w doświadczone i wprawne ręce przez najwyższą władzę państwową. Słowem fatalny konflikt może tylko rozrastać się a, zważywszy na dyrektywę austrjackiej polityki zagranicznej, jedynie na niekorzyść Polaków. Wypadnie czynić na rzecz Rusinów ustępstwa coraz dalej idące a bez uroku dobrowolności, gdyż napór rusiński — o czem Bóg i ludzie wiedzą — staje się coraz niezłomniejszym.

Świeże rewelacje o współdziałaniu Rusinów z niemieckimi hakatystami nie staną się żadnym dla Rusinów „ciosem“. Kompromitacja? Ba! Dziś skompromitowane z kretesem indywidua, opiętnowane najnaiwniejszemi błędami politycznemi, nie przestają grać roli w stronnictwach wysoce, *par excellence* politycznych, nawet tu i owdzie przewodzić im. A miałaby „kompromitacja“ zaszkodzić akcji rusińskiej! Zresztą, — albożto „kompromitacja“ szukać — i znaleść! — sojusznika dla walki ze „wspólnym wrogiem“?

Rusini galicyjscy, podawszy rekę pruskim hakatystom, zacieśnili tylko obręcz żelazną osaczającą nas, Polaków, tak aby najmniejszej nawet luki niebyło od Tatr po Gopło. W czyich że oczach ma to być „kompromitacją“? W oczach — Europy?! Chybaż wyrośliśmy z pieluch „europejskiej interwencji“?...

D. n.

.A S.

Skry.

Ogół ludzi zgadza się w tym z mniejszością, że prawie zawsze obdarza życzliwością hojnych, a pogardą — skąpców.

Tak nizkie mam mniemanie o ogóle, iż zapytuję się sam siebie, czy nie czyni on tego z wyrachowania, licząc że od ludzi hojnych zawsze można coś skorzystać, gdy tymczasem skąpiec chowa dla siebie cały majątek, którym każdy radby się z nim podzielić.

I. M.

Cudowne ocalenie — Skarbu Narodowego.

Nic dziwnego, że *Gazeta Warszawska* wpadła w nieprzytomny atak furji, że pieni się i łaje. Ma o co się gniewać. Zaledwo wystąpiła w szacie apostoła moralności publicznej, gdy z różnych stron poczęto jej przypominać jak mało posiada kwalifikacji do tego posłannictwa. Wszak zdawna zasłużyła sobie na miano stronnictwa demoralizacji narodowej. Zamiast z ferworem gromić grzechy cudze, polecono jej sprawdzić obfitą kolekcję własnych, a niektóre wymieniono.

Nie chodziło wcale o to, jak twierdzi *Gazeta Warszawska*, by wykazywać, że „wszyscy są łotry, że w całej naszej polityce niema jednej grupy uczciwej". Taką konkluzję mogą wyciągnąć chyba najnaiwniejsi z jej czytelników, słysząc jak narodowa demokracja wszystkich prócz samej siebie od czci odsądza i gotowi stracić resztę wiary, gdy w końcu do niej rozczarowani zostaną.

Są grupy uczciwe i uczciwi ludzie — ci jednak coraz dalej usuwają się od endecji. Wiemy przecież, ile kolejnych secesji wyłoniła ona ze siebie, a każde takie odszczepieństwo miało jako punkt wyjścia jakieś zdemaskowanie metod politycznych przywódców. Stronnictwo to wciąż traci rozczarowanych, a luki zapełnia napływem otumanionych; rośnie przez mistyfikacje, topnieje przez kompromitacje. To stanowi główną treść jego historji.

„Zwycięztwo moralne narodowej demokracji", które dziś obwieszcza *Gazeta Warszawska*, zostało trochę zachwiane przypomnieniem mniej moralnych epizodów z przeszłości. Jednym z nich była głośna swego czasu sprawa Skarbu Narodowego, — drugim pojednanie z księdzem Stojałowskim. Ponieważ to ostatnie w obecnej chwili stanowiłoby zbyt drażliwy temat do dyskusji, *Gazeta Warszawska* woli go na razie przemilczeć. Natomiast zdecydowała się nareszcie przystąpić do odpowiedzi na zarzuty, dotyczące gospodarki w Skarbie Narodowym. Dosyś późno, lecz i to lepiej niż nigdy.

Już w 1903 roku opublikowano w Galicji dwie broszury „Gdzie się podział skarb Naroeowy" i „Emigracja a Skarb Narodowy", — ta ostatnia zaś napisana przez członka komisji nadzorczej tegoż Skarbu na szczególną zasługiwała uwagę. Ostrzegano w niej społeczeństwo polskie, że endecja zamieniła Skarb narodowy na swój fundusik partyjny, a jeśli temu kameleonowemu stronnictwu „spodoba się przejść do pokrewnego sobie obozu stańczyków, to i Skarb za sobą pociągnie".

Nie słuchano tego ostrzeżenia. Byli jeszcze w tej instytucji entuzjaści, którzy sądzili, że słowa d-ra Gierszyńskiego są zbyt pesymistyczne. Niestety; musieli się przekonać, że grzeszył on raczej optymizmem.

Już nie do obozu stańczyków, lecz do obozu październikowców, do panslawistów na braterskie uczty do Cubata i Donona poszli ci, którzy sięgali do Skarbu Narodowego pod pozorem, że oni to właśnie stanowią „organizację polityczną, uosabiającą w sobie ruch narodowy i kierującą nim *de facto*, to jest zajmującą w życiu politycznym narodu stanowisko podobne do organizacji Komitetu Centralnego w 1862 roku". Tak określała ustawa Skarbu kwalifikacje grupy, której przyznać pozwala prawo do otrzymywania $^{2}/_{3}$ odsetków rocznych i rozporządzania nimi *bez kontroli*.

Na nieszczęście, ci, co stali na czele instytucji, nie skontrolowali ani użytku z subsydjów, ani charakteru tych, co je dostawali do ręki, jeśli zaś jeszcze w latach 1903-im, 4-ym, 5-ym i 6-ym mogli widzieć w endecji podobiznę Komitetu centralnego z 1862 roku, to zaślepienie ich musiało być wielkie lub 'maskarada niesłychanie przebiegła.

Jedyną odpowiedzią na tę broszurę było usunięcie jej autora z komisji nadzorczej a obsadzenie jej potulniejszymi i mniej krytycznymi jednostkami. Gdy tak zabezpieczono swą pozycję, posunięto się o krok dalej i skorzystano z innego punktu ustawy, zezwalającego w razie koniecznej potrzeby naruszyć kapitał. Oczywiście emigracja polska, składająca swe grosze do Skarbu nie myślała wcale o „koniecznej potrzebie", w jakiej znaleźliby się pan Dmowski, Balicki i Sp., lecz miała na myśli jakąś ważną, nagłą, a kosztowną akcję narodową.

Obecny artykuł *Gazety Warszawskiej* wyjaśnia nam na jakiej zasadzie i na jaki cel do kapitału narodowego sięgnęła endecja.

„W jednym momencie, mianowicie w 1905 r. w okresie walki z socjalistyczno-żydowską anarchją w naszym kraju otrzymała z kapitału na mocy uchwały komisji nadzorczej zasiłek nadzwyczajny w sumie 20 tysięcy franków".

Nie wchodzimy w to, czy zwalczanie socjalistyczno-żydowskiej anarchji w jakiejkolwiek mierze przypominało akcję Komitetu centralnego z 1862 r. Podobieństwo co najmniej nie rzuca się w oczy. Nie można też powieeześć, aby użycie na ten cel narodowego funduszu było podyktowane konieczną potrzebą.

Wiemy przecież, że zwalczaniem anarchji zajmowały się już wówczas czynniki bardzo

potężne i w pierwszym rzędzie do tego powołane, że grosza bynajmniej na ten cel nie brakło, gdyż rząd rosyjski zaciągnął ćwierćmiljardową pożyczkę w zachodniej Europie i czerpał z niej aż nadto wystarczające środki dla poskromienia żywiołów przewrotu.

Bez dwudziestu tysięcy franków pp. Dmowskiego i towarzyszy mogło się doskonale obejść, a ta okruszyna, ten grosz wdowi z emigranckiej kasy — bynajmniej nie zaważył na szali wypadków. Walki bratobójcze „w Łodzi, „przelewanie krwi bratniej", którym szczycił się wówczas publicznie p. Dmowski, nie było podyktowane nieodzowną potrzebą, ani też przewidziane przez inicjatorów i twórców Skarbu Narodowego: Agatona Gillera lub T. T. Jeża.

Tu należy wtrącić słówko sprostowania. *Gazeta Warszawska* twierdzi, że stosunki obozu demokratyczno-narodowego z instytucją Sk. Nar. skończyły się, gdy ten obóz „rozwinął działalność jawną i legalną". Było trochę inaczej. Początkiem jawnej i legalnej działalności, było przeprowadzenie wyborów do I-ej Dumy, a wówczas jeszcze stosunki musiały być bardzo ścisłe, kiedy zachodziła konieczna i nagła potrzeba naruszenia kapitału Skarbu. Jakkolwiek ani w pierwszej, ani w drugiej, ani trzeciej Dumie narodowo-demokratyczny obóz bynajmniej nie krępował się moralnymi zobowiązaniami, którymi obwarowane było czerpanie zasiłków ze Skarbu Narodowego, nie myślał się jednak tych zasiłków zrzekać, ich rozmiarów ograniczać, ani stosunków z daną instytucją zrywać. Zachłanność jego przeraziła już wówczas sędziwego T. Jeża, gdyż wymógł w roku 1906-ym uchwałę, zastrzegającą „nietykalność ostatnich stu tysięcy". Więcej jeszcze przeraził go „zwrot na prawo w tył", dokonany przez narodową demokrację w pamiętnym roku 1908-ym. Przypominamy, że był to miodowy miesiąc sielanki neosłowiańskiej, braterskich uścisków z Filewiczami i Wergunami, telegramów gratulacyjnych do grafa Bobryńskiego. Taka akcja ogólno narodowa nawet w najcięższej malignie nie śniła się twórcom Skarbu Narodowego. I wówczas jednak widocznie nie wstydził się jeszcze obóz narodowo-demokratyczny sięgać po zasiłki — jeśli prezes Komisji Nadzorczej, Jeż — czuł się zmuszony złożyć swój urząd i ogłosić pamiętne swoje „Wyjaśnienie" we wszystkich galicyjskich pismach.

Dopiero ten głośny skandal skłonił Komisję nadzorczą do zamknięcia na cztery spusty narodowej skarbnicy, i od owego czasu stała się ona dla obozu narodowo-demokratycznego niedostępną.

Tak należy rozumieć przerwanie stosunków. O tym ostatnim fakcie ogół dotąd nie wiedział; sprawozdania Skarbu Narodowego i protokuły uchwał Komisji nadzorczej nie przenikają u nas do prasy, a najlepiej poinformowane, osobiście dotknięte grupy przez pięć lat milczały. Nie spieszno im było się chwalić, że drzwiczki od kasy zatrzaśnięto im w porę przed nosem.

„Fundusz sobie dalej istnieje", pisze nie bez odcienia złego humoru *Gazeta Warszawska*, broniąc endecję przed „kłamliwym" zarzutem rozgrabienia Skarbu Narodowego. Kapitał został tedy uratowany—ale cnota niezupełnie,—boć trudno zachwycać się uczciwością, której rękojmią są mocne rygle i czujni stróże.

Historja ocalenia Skarbu narodowego najzupełniej przeczy insynuacji, jakoby przeciętny poziom moralności publicznej u nas nie wznosił się ponad miarę, stosowaną w narodowej demokracji. Długo pracowała ona nad obsadzeniem Komisji nadzorczej przez ludzi swego pokroju, usuwaniem, wbrew ustawie nawet, jednostek dla siebie niedogodnych.

Zawiodła się jednak w końcu i na nich, gdyż nawet oni zlękli się odpowiedzialności za wspólnictwo z dzisiejszymi apostołami cnoty obywatelskiej.

Nie, zaiste; ogół polski nie jest ani tak głupi, ani tak zły w rzeczywistości, jak w hypotezach, na których endecja osnuwa swoje polityczne plany.

Tym się tłómaczą jej chronicznie powtarzające się porażki.

Łudzi się też *Gazeta Warszawska* sądząc, że zdoła podtrzymać dobre imię swego obozu przez wytykanie jego przeciwnikom łączności ze Stapińskim lub przypominanie, że przecież jest „różnica między czerpaniem z austryjackiego funduszu dyspozycyjnego a pobieraniem zasiłków ze Skarbu Narodowego".

Nikt nie twierdził, aby źródło było nieczyste — lecz, że do niego nieczystymi sięgano rękami! Skarbczyk Jasnogórski jest także bardzo czcigodny, ale to nie stanowiło okoliczności łagodzącej w procesie Macocha i Olesińskiego.

J. KRZESŁAWSKI.

Strejk drukarski — w Galicji.

Cała Austrja, z małymi wyjątkami, jest od 4 tygodni z górą objęta strejkiem drukarskim. Przemysł drukarski w Galicji tak silnie związany z ruchem wydawnictw we wszystkich dzielnicach Polski przechodzi kryzys poważny. Inicjatywa strejku nie wyszła z Galicji, lecz z Wiednia. Tam znajduje się centralizacja stowarzyszeń drukarskich, tam prowadzą się układy i nadaje się ton i kierunek całej akcji. Walka zecerów z pracodawcami była przewidywana i oczekiwana od dość dawna.

Jeszcze w 1905 roku właściciele drukarń zawarli z zecerami umowę cennikową, mającą obowiązywać na przeciąg lat ośmu, to jest do 31 grudnia 1913 roku. Od tej pory począwszy, kilkakrotnie zwiększano płacę zecerom, mniej więcej o 2—3%, co jednak, ze względu na panującą drożyznę, uznane zostało przez pracowników za niewystarczające. Przedstawili więc oni swym pryncypałom nowe żądania. Pryncypałowie ze swej strony wystąpili z postulatami, zmierzającymi ku powrotowi do czasu z przed 1905 roku, nie pod względem cen, co byłoby dziś niemożliwe, lecz w stosunku do innych warunków umowy, które chcieli obecnie zmienić na korzystniejsze dla siebie. Rokowania prowadzone przez obie strony, rozbiły się z początkiem listopada, i od tej pory rozpoczęto przygotowania do strejku. W Galicji strejk miał rozpocząć się poźniej, niż w innych krajach, wchodzących w skład Austrji, a mianowicie 28 grudnia 1913 roku. Krakowscy jednak właściciele drukarń, nie chcąc płacić za czas świąteczny, oraz zdenerwowani biernym oporem, jaki tu i owdzie zaczęto stosować, uprzedzili strejk ogłoszeniem lokautu, z wymówieniem 2-tygodniowem. Wobec tego strejk w Krakowie trwa już od 21 grudnia, we Lwowie zaś od 28 grudnia.

Walka toczy się o następujące postulaty:

1) Pracownicy żądają podwyżki płacy o niespełna 10%. Minimum płacy tygodniowej ma wynosić 35 kor; zamiast dotychczasowych 32 koron; inne płace mają się podnosić w tym samym stosunku. Dla pracowników na porachunek cena tysiąca liter ma się podnieść o 7 halerzy (3 kop.); później zniżono te żądanie do 5 halerzy.

2) Pracownicy żądają zmniejszenia czasu pracy o kwadrans, z $8^3/_4$ godzin do $8^1/_2$.

3) Właściciele drukarń żądają uzależnienia od siebie stworzonego przez zecerów biura pośrednictwa pracy, w którem pracownicy przyznają im jedynie głos doradczy. O ten punkt toczy się najzaciętsza walka. Pryncypałowie gotowi są poczynić ustępstwa co do podwyżki, byleby tylko uzyskać wpływ na owe Biuro. Dowodzą oni, że chcą w ten sposób uniezależnić się od miejscowej socyjalno-demokratycznej organizacji. Pracownicy odpowiadają im ze swej strony, że organizacja drukarzy, jedna z najpotężniejszych w Austrji i licząca 96% ogółu zecerów, ma charakter ściśle bezpartyjny, oraz, że pracę otrzymuje każdy według kolei, w jakiej się zgłosił.

Wobec tego, że rokowania stanęły w martwym punkcie, strejk trwa w dalszym ciągu, przekroczywszy przewidywany ogólnie termin 2—3 tygodni. Nie wszystkie drukarnie objęte są strejkiem. Pomijając już Wiedeń, w którym dla największych drukarń nie wygasł jeszcze termin dawnego cennika, i ograniczając się wyłącznie do terenu galicyjskiego, stwierdzić należy, że niektóre drukarnie podpisały odrazu nowy cennik, proponowany przez zecerów: do takich należy przedewszystkim krakowska „Drukarnia Ludowa“ w której odbija się socjalistyczny „Naprzód“.

Strejk ma przebieg zupełnie spokojny i władze nie mają powodu do interwencji. Redakcje pism, objętych strejkiem drukarskim połączyły się w celu redagowania wspólnego pisma, o charakterze ściśle informacyjnym (w Krakowie „Chwila“, we Lwowie „Kronika“.)

Myliłby się ten, ktoby przypuszczał, że tak spreparowana gazeta wspólna składana jest przez zecerów, nie solidaryzujących się ze strejkiem. Tych ostatnich niema wcale, czego zresztą łatwo się domyśleć, wobec 96% zorganizowanych w „Związku“. Gazetę składają sami właściciele drukarń przy pomocy uczniów, rozszerzenie zaś łamów gazety stało się możliwem dzięki zgłoszeniu się pewnej liczby osób na ochotnika, w tej liczbie około 10 studentów uniwersytetu. Na tem tle doszło nawet do zajścia: znieważony został czynnie student przez jednego z zecerów.

Wobec tego, że żądania są skromne i wcale nie przesadzone, co poniekąd stwierdzają sami pryncypałowie, godząc się chętnie na wymaganą podwyżkę, pod warunkiem poczynienia im ustępst co do Biura pracy, opinja publiczna stoi raczej po stronie zecerów, co daje się zauważyć chociażby na ulicy, gdzie kolportowany „Naprzód“ rozchwytuje szybko publiczność. Szczególnie zaś ostro zaznacza się opinja w obozie młodzieży uniwersyteckiej, która zwołała na gruncie krakowskim specjalny wiec w tej sprawie i ma zamiar stanowczo się wypowiedzieć, i to bez różnicy odłamów politycznych, przeciw swym kolegom, występującym w roli, jaką kiedyś odgrywał prof. Martens, lub na warszawskim bruku prof. Baziner podczas pamiętnego strejku pocztowo-telegraficznego.

Przewidywać napewno rezultatów strejku niepodobna, bo i fundusze zapomogowe dla zecerów, ofiarowane z kas oporu, mogą się wyczerpać. Jest jednak rzeczą wielce prawdopodobną, że zecerzy zwyciężą. W najgorszym zaś wypadku strejk cały, który przeciąga się niepomiernie długo i przynosi wydawcom ogromne straty, zakończy się kompromisem.

K. WROCZYŃSKI.

Z poza kurtyny.

TYDZIEŃ TEATRALNY.

Jeżeli poza repertuarem węgierskim, który dotychczas dochodzi do Warszawy via Wiedeń niema innej twórczości dramatycznej biegunowo przeciwnej; jeżeli Molnar, Lengyel e tutti quanti stanowią ostatnie słowo komedjurgji madziarskiej, — to wolejby nam tonąć w słodkiej niewiedzy, niż ablegrować na nasz grunt tę ugro-fińską wić „europejskości", jaka rozkwita w Budapeszcie. Zaiste bo gra nie warta... rampy. Znam molnarowskiego „Djabła", „Oficera gwardji" i *dernier crie* „Rozmaitości" — „Bajkę o wilku", delektowano nas pozatem przed dwoma laty Lengyel'owym „Tajfunem" na dwóch scenach równocześnie, — i jeżelibym miał określić, na czym (wychodząc ze sztuk powyższych) ma polegać swoistość komedjopisarstwa węgierskiego, rzekłbym: na figlu, przeprowadzonym znacznie gorzej, niż to zazwyczaj ma miejsce w analogicznych sztukach francuskich, niemieckich czy angielskich. Współczesnemu węgierskiemu autorowi nie chodzi bynajmniej o zadania teatralne, o nurt czy bodaj powierzchnię psychy ludzkiej, o „postawienie" postaci działających czy o problem dramatyczny lub komiczny, węgierski autor nie wypowiada siebie w utworze swoim, — jemu chodzi zgoła o co innego: on w tło siakiej takiej kanwy-akcji wtyka figiel, któryby, działając podniecająco na wulgarną ciekawość tłumu, zapewnił przez to samo możliwie dużą frekwencję gapiów-widzów, a przez to dał sztuce kasowe powodzenie.

„W tej sztuce na scenie jest prawdziwy „współczesny" djabeł, a w owej jeden aktor gra dwie różne osoby równocześnie, a w tamtej znów pokazują prawdziwe japońskie dziu-dzitsu, — to ciekawe, trzeba pójść i zobaczyć", o takie odezwy zabiega „Djabeł" czy „Tajfun".

Mundus vult decipi, więc węgierscy autorowie „poszli" na Europę. Mniejsza oto, że poza figlem reszta utworu składa się z bezwartościowej piany, mniejsza o to, że są one zlepkiem wszystkich zachodnio europejskich wpływów i faktur, mniejsza, że nic się indywidualnie narodowego w nich nie dopatrzy, — obliczone na... naiwność ludzką zawsze znajdą one aktorów skorych do figlowych popisów i publiczkę chętnie na nie patrzącą. Wielkie miasta Europy potrzebują nawet tego rodzaju „twórczości", ale u nas? U nas gdzie całe szeregi istotnie wybitnych sztuk wszystkich czasów czekają na swe premjery, czyż warto siły „pierwszej sceny polskiej" marnować na bajeczki obliczone li na gapiostwo dorosłych dzieci? Wartoż podawać margarynę, gdy się ma tyle najzdrowszej karmy w spiżarni literatury swojej i obcej?

***

Istniejący od półtora miesiąca „Teatr Nowoczesny" nie może jakoś znaleść dla swej działalności ustalonego zakresu, nie może przywdziać na się wyrazu zdecydowanego. Dano trzy premjery, w nich trzy operetki i jednoaktowe farsy uzupełniając program kabaretowymi wkładkami aż do przygodnych monologistycznych występów. Usiłowania te nie osiągnęły pełni zamierzeń tak dla względnej błahości utworów, jak dla braku sił wykonawczych. Zwłaszcza brak nowemu przybytkowi materjału aktorskiego. Znacznie lepiej prezentuje się materjał śpiewaczy, co do niektórych jego przedstawicieli bardzo nawet dobry, najwyżej zaś stoi poziom zespołu orkiestrowego. Brak jednak linji przewodniej, brak wytycznych repertuarowych, brak charakteru i typu dla nowego teatru. Idąc jednak manowcową drogą prób i poszukiwań niepewnych, dotknął „Teatr Nowoczesny" pewnego rodzaju pokazów widowiskowych, z których, być może, iż zrodzi się nowy oryginalny rodzaj. Mówię o „Kolędach" i „Kujawiakach" odśpiewanych według muzycznego układu L. M. Rogowskiego i A. Elertowicza w inscenizacji M. Dienstla. W głębi tych prób tkwi jądro przebogactwa twórczości ludowej nietkniętej prawie u nas teatralnie. Jądro to przy kulturalnej artystycznej hodowli może się rozwinąć w kwiat przebogaty, olśniewający. Posiada ono olbrzymiość sił ukrytych w gotowym materjale, wymaga jeno istotnej transkrypcji teatralnej, a rozewrzeć może podwoje nieobliczalnych możliwości. Już w „Kolędach" i „Kujawiakach" tkwiły momenty, wznoszące się z podłoża „ludowego do poziomu ludzkości", można tedy oczekiwać, że etapy dalsze tych pokazów o ile pójdą „nie przez stosowania zewnętrzne i koncesje formalne, lecz przez wewnętrzny rozwój dojrzałości" stworzyć mogą jedną z racjonalnych twórczych podstaw repertuaru „Teatru Nowoczesnego".

OTTO.

Wrażenia.

J. M. BYSTRAM — «Lyrikon» poezje.

Przyznam się, że ze smętnym uczuciem spełnianego obowiązku brałem do rąk ten nieznany mi tomik wierszy. Książeczka wydana w smukłej szesnastce, układem oryginalnym, zgrabnym, tem bardziej zdawała się przesądzać wniosek, iż się w niej treść formą okupuje. Przytem, gdzież jawią się dziś młode istotne talenty w liryce? Sama «niwa» owa ugoruje od lat kilku zarosła li chwastami czepiającymi się pasorzytniczo dawnych, stężałych już poetów. Począłem czytać i o dziwo! prezumpcyjna melancholja moja już po kilkunastu kartkach rozwiała się jak dym bez śladu pod tchnieniem nowego, nieznanego mi a istotnego talentu.

Po przeczytaniu zaś całej książki twierdzę z całą i bez zastrzeżeń radosną pewnością, iż na pustoszy dzisieiszej liryki polskiej narodził się młody poeta. Indywidualność J. N. Bystrama widnieje w «Lyrikonie» jako jasny już kategorycznie zdecydowany liryczny walor.

Wzorem dawno odeszłych, pogodnych poetów
Często błądzę za formą, wybieram mą nutę:
Przypominam przepadłe, znajduję przeczute...

— — — — — —

Nakszałt głazów hartownym zbuduję mój smutek
I kręgosłup uczynię z mych wierszów zalety.

Ale czasem, silniejszy, pragnę złamać w ręku
Tę twórczość dla mnie jeszcze zbyt lekką i miękką:
Siłę strof mych chcę poznać w pęknięcia oddźwięku.

Oto istotna formalna prezentacja J. N. Bystrama, iszcząca się na całej rozciągłości zbiorku. Forma to istotnie idąca od «dawno odeszłych, pogodnych poetów», gdyż tchnie prostotą okresu poromantycznego, «przypomina przepadłe» niemniej przeto przeszła ona przez filrt parnasowy modernizmu naszego, i, co więcej, poszła już drogą własną w przyszłość «znajdując przeczute». Wiersz Bystrama ma, dzięki temu oryginalny, akordowy, polifoniczny ton: zlania się prostoty z głęboką finezją; ma swe własne zdobycze: rozszerzania (o jażke słuszne! jak bardzo wreszcie pożądane!) zakresu rymów. «Siłę strof mych chcę poznać w *pęknięcia oddźwięku*» mówi poeta i projektuje rym, którybym nazwał «echowym», rym wyzwalający się z zaskorupiałych powijaków unisona, rym typu: «w ręku — miękką» lub «kresu — poniosą» rym pochyleń, niedokończonych melodji rozwiązujących się dopiero w głębi ucha, rym o swoistej piękności znany zresztą dobrze w wersyfikacji rosyjskiej i niemieckiej. Też pozorne dyssonanse, będące niczem innem jak nową konwencją harmoniczną posiada i rytmika Bystrama.

Nie wszystkie wprawdzie próby w tej mierze za szczęśliwe uznać można (inaczej zresztą być nie może przy poszukiwaniu dróg nowych), niemniej przeto nie wątpię, że pjonierskie rzuty autora «Lyrikonu» wniosą w atmosferę naszego byzantynizmu szablonów wierszowania prąd ożywczy, bodajby jaknajbardziej burzący «posągowe» zmurszałości.

Od formy przechodząc do treści, przez cały zbiorek przesuwa się czarna wstęga leibmotywowego smutku, acz nazbyt nieraz po młodzieńczemu podkreślana. «Nakształt głazów hartownym zbuduję mój smutek», twierdzi poeta, lecz istotny wnętrzny hartowny smutek głazów rozpyla się zwiewnym kurzem nazbyt frazesowo głośnych zawodzeń; przeważa zbytnia *opowiadawczość* o stanach rozterki wewnętrznej miast ich krzepkiego uplastycznienia parafrazą bodaj. Istota poezji nie mówi *o czemś*, lecz daje *coś*. Usterki te jednak okupują z nawiązką zalety: dorycka monumentalna prostota głębinowego ukochania ojczyzny, «nienasycony duchowy głód», męzkie poczucie samotności. Taka «Modlitwa», «Żegnanie», «Żelazną drogą» lub «O, jakże prostą jest ojczyzna nasza», są arcytworami stanów powyższych.

GROMICZ.

Z lotu ptaka.

21 stycznia.

Gdy czytam powieści historyczne o roku 1812 (czy jest między nami ktoś, ktoby jeszcze nie napisał powieści o Napoleonie? — niechże się nie ukrywa!) gdy czytam te «Końce Epopei», te «Legjony», te «Boje Olbrzymów», te «Hurrrrragannnny», wydaje mi się, że nasi «najznakomitsi» przychodzą zziębnięte ręce grzać przy sławie Korsykanina. Cóż mają robić? starość—nie radość!

22 stycznia.

Wpadła mi dziś w ręce jedna z miesięcznych broszur - słabości pana Józefa Langego, a w niej zdanie: «Przewodnią myślą postępu powinny być słowa ewangelji: Pójdźcie do mnie wszyscy, którzyście spracowani i obciążeni, a ja wam sprawię odpocznienie». Jeśli to ma być myślą przewodnią postępu, to cóż w takim razie będzie myślą przewodnią przytułku dla inwalidów?

23 styczniy.

Widz naiwny, biorący sceniczny naturalizm na serjo, traci podwójnie, bo nietylko przyjmuje liczman za dobrą monetę, lecz jeszcze wydaje reszty z ubożuchnego skarbu własnej wyobraźni.

24 stycznia.

Gdy endecji wytyka się, iż nie ceni godności narodowej, woła zaperzona: «Jakto nie cenię? Właśnie stanowi ona dla mnie własność najrealniejszą, przecież ja nią... handluję».

Książki nadesłane do Redakcji.

«Ziemia polska w pieśni». antologja. Ułożył i wstępem opatrzył Jan Lorentowicz. Z 12 reprodukcjami obrazów artystów polskich. Wydanie drugie. Warszawa 1914 r. Nakł. Gehethnera i Wolffa, str. 507.

A. Wierbicka. «Nowym torem». romans nauczycielki. Z upow. aut. przełoż. Z Rysińska. Warszawa 1914 r. Nakł. Gebethnera i Wolffa str. 176.

Jerzy Żuławski. «Laus feminae». Część pierwsza «Powrót». Nakł. i druk tow. akc. S. Orgelbranda Synów. Warszawa 1914 r. Skł. głów. E. Wende i S-ka, str. 316.

Cyprjan Norwida. «Pisma zebrane.» «Legendy i Nowele». Warszawa 1914 r Wydał Z. Przesmycki nakładem J. Mortkowicza. str. 320.

Czesław Jankowski. «Wiersze niektóre». Kraków 1914 r. G. Gebethner i Spółka, str. 231.

«Na schyłku dni Rzeczypospolitej» Kartki z pamiętnika Michała Starzeńskiego (1757-1795). Wydał Henryk Mościcki. Werszawa 1914 r. Nakł. księg. Gebethnera i Wolffa str. 198.

Edgar Allan Poe. «Opowieści nadzwyczajne». Przekład i słowo wstępne B. Leśmiana. Tom I i II «Muzy». Bibloteka literacko-artystyczna pod redakcją Jana Lorentowicza. Nakł. i druk. zakł. graf. tow. akc. S. Orgelbranda S-ów. Warszawa 1914 r. Skł. głów. E. Wende i Spółka, str. XXIX + 212 + 247.

Zenon Przesmycki (Miriam). «Pro arte». Uwagi o sztuce i kulturze: Nieco z obyczajów. Teatry, Kabarety, Muzyka, Literatura, Sztuki plastyczne, Miejskie muzeum sztuki. Warszawa 1914 r. Nakł. i druk. tow. akc. S. Orgelbranda S-ów. Skł. gł. E. Wende i Spółka, str. 608.

Alfons Dzięciołowski. «Poezje». Kraków 1913 r. Skład gł. G. Gebethner i S-ka str. 90.

Prenumerata PRAWDY wraz z bezpłatnym dodatkiem w Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odn. do domu. Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10. Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Redaktor przyjmuje interesantów w poniedziałki, wtorki i soboty od 2-ej do 3-ej. Rękopisów nie odsyła się.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

OGŁOSZENIA

po kop. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Zdumiewająco pomyślne wyniki przy leczeniu zasłabnięć nerwowych

Niewielu ludzi zna istotną przyczynę swych cierpień, nie każdy zaś wie, iż wszelkie męczarnie powstają na gruncie osłabienia lub rozstroju systemu nerwowego. System nerwowy składa się głównie z mózgu i mlecza pacierzowego, z których z kolei rozgałęziają się po całym organizmie włókna nerwowe, tak iż mózg i mlecz pacierzowy stanowią ośrodki całego systemu nerwowego. stotnej zatem przyczyny choroby szukać należy nie w dotkniętem nią miejscu organizmu, lecz w centrum systemu nerwowego. Objawy tego rodzaju zasłabnięć są najrozmaitsze, mianowicie: bóle głowy, drgawki, bóle krzyża, twarzy, gardła, stawów, ćmienie w oczach, bicie serca, bezsenność, ciężkie sny i zmory senne, zawroty głowy, niepokój, tętnienie w żyłach, odpływ krwi z członków, drżenie rąk i kolan przy najlżejszym wzruszeniu, szum w uszach, niemoc płciowa, lękliwość, pijaństwo i inne. Głównymi sprawcami chorób nerwowych są: przemęczenie lub nieprawidłowe odżywianie systemu nerwowego. Do usunięcia tych przyczyn istnieją dwie drogi: bezwzględny spokój lub też wzmocnienie nerwów za pomocą materjałów odżywczych. Najradykalniejszem byłoby korzystanie zarówno z jednej drogi, jak i z drugiej, lecz rzadko się to komuś udaje. Brom, kawa, alkohol i t. p.—tylko chwilowo uspakajają lub podniecają nerwy, zaś przy dłuższem używaniu więcej przynoszą szkody, niźli pożytku. Do prawidłowego rozwoju wątłej roślinki i dla uczynienia jej płodną — jest rzeczą niezbędną — dostarczenie jej gleby, użyźnionej odpowiedniemi materjałami, tak ma się rzecz i z nerwami. Najlepszym pokarmem do odżywiania ich jest— dostarczenie znacznej ilości odpowiednich materjałów. Materjały te nie są niczem innem, jak fosforokwaśnemi związkami organicznymi, z których powiodło się d-rowi Hartmanowi tsworzyć preparat odżywczy, Kordjalinę, w dogodnej do przyjmowania postaci.

O tem, że środek ten w zupełności odpowiada swemu przeznaczeniu, wzmacniania nerwów bez pobudzenia tychże, świadczy mnóstwo głosów dziękczynnych zarówno ze strony lekarzy jak i osób, które się przekonały o jego skuteczności. Jakiego zdania o naszym środku są lekarze świadczy o tem list, nadesłany nam z klasztoru Karmelitów św. Piotra: „Prosimy o nadesłanie nam jeszcze 6 pudełek „Kordjaliny“, gdyż lekarz nasz domowy środek ten bardzo chwali i zaleca dalsze używanie go“.

Tysiące tej treści odezw zmusiły nas do wydania całej książki, w najwyższym stopniu interesującej wszystkich cierpiących na nerwy. Proponujemy W. P. wypróbowanie środka naszego zupełnie bezpłatnie, jedynie przez powołanie się na niniejszy artykuł. Na zapytanie W. P. kartą pocztową wyślemy bezpłatnie pudełko próbne tego leczniczego środka, prosimy jedynie o podanie adresu swego wyraźnie. Należy pisać bez najmniejszej zwłoki, gdyż wyczerpanie nerwowe może pociągnąć za sobą bardzo poważne powikłania — pod adresem: D-r K. Hartman, № 736, St. Petersburg, Wozniesienskij Prospekt № 57.

Redaktor: Wincenty Rzymowski. Wydawca: Józef Jabłoński.
Druk L. Bogusławskiego, Warszawa, S-tokrzyska 11.